

p. Marian Suliga

Nazywam się Marian Suliga, skończyłem Szkołę Podchorążych w Krakowie (Rezerwy Piechoty), poprzednio będąc uczniem gimnazjum im. Stanisława Konarskiego w Krakowie w Rakowicach, w szóstej klasie ukończyłem kurs szybowcowy PW Lotniczego w Ustjanowej. W następnym roku, 1937, ukończyłem Szkołę Pilotażu w Katowicach, gdzie szefem wyszkolenia był sierż. Feluś, który zginął w Bitwie o Anglię. Następnie po ukończeniu Szkoły Podchorążych byłem przydzielony do 20 pułku piechoty, który w ramach Armii Kraków brał udział w wojnie 1939 roku.

Zostałem przydzielony do kadry zapasowej pułku i organizowaliśmy batalion, (poprzednio bataliony odeszły pod Pszczynę) z nadwyżek mobilizacyjnych pułku. Ja byłem dowódcą ostatniej załogi wojskowej, która wyszła z Krakowa 5 września o świcie, a to z racji tej, że musiałem ściągnąć wszystkie warty wystawione przez jednostkę w punktach, które musiały być strzeżone. Byłem w stopniu kapral podchorąży. 5 września o świcie zebrałem wszystkie warty na ulicy Wielickiej, na przeciw cmentarza Podgórskiego. Tam jeszcze zaopatrzyłem żołnierzy w pieczywo, bo była piekarnia obok, i pomaszerowaliśmy w kierunku wschodnim, na Wieliczkę. Zgodnie z wytyczoną marszrutą poleconą mi ~~xxxx~~ tak abym maszerował za batalionem, który wyruszył 4 września po południu z <sup>kr</sup> Krakowa. Z tym oddziałem w liczbie ok. 50 żołnierzy maszerowałem na Wieliczkę z tym, że w Wieliczce odbiłem od szosy w lewo dlatego, że już za dnia lotnictwo niemieckie bombardowało wszystkich uciekinierów i wojsko, które maszerowało.. Po kilku dniach marszu znalazłem się z wojskiem w okolicy Kolbuszowej. gdzie natknęliśmy się na broń pancerną przeciwnika. Był to zagon broni pancernej który się przedarł od południa, ze Słowacji, ku północy. Tam po potyczce z bronią pancerną wycofaliśmy się w kierunku Lasów Lubelskich, <sup>na Tomaszów Lub.</sup> (gdzie miała być zorganizowana

linia obrony. Po zorganizowaniu linii obrony, 20 września, zastała nas kapitulacja, zarządzona przez dowódcę Armii Kraków. Przyczyną było wkroczenie wojsk sowieckich 17 września na terytory polskie bez wypowiedzenia wojny. Po tej kapitulacji, po zakopaniu broni (bo myśmy nie oddawali broni tylko zakopywaliśmy broń w lasach odpowiednio zabezpieczoną, no, a co większe jednostki były niszczone, elementy takie, które później mogłyby być użyte przez Niemców). Ja z grupą żołnierzy chciałem się przedostać w kierunku południowym, do granicy węgierskiej. Niestety nie udało nam się. Natknęliśmy się na patrole niemieckie, których było bardzo dużo w terenie, a które podeszły pod naszą linię obrony. I tam dostaliśmy się do niewoli. Zaprowadzono nas na punkt zborny do miejscowości Krasnobród i tam nas umieszczono w pomieszczeniach gospodarczych, w takiej dużej stodole. Nie byliśmy tylko my sami, ta mała grupa, bo było około już 100 ludzi razem z nami w tej stodole.

Na drugi dzień o świcie Krasnobród został ostrzelany z broni maszynowej i z działka. Przypuszczam że to było działko przeciw pancerne. To było 22 września. I te straże niemieckie które nas pilnowały w popłochu gdzieś się pokryły. Myśmy skorzystali z okazji, wyważyli drzwi od stodoły i wyrwaliśmy się z tego pomieszczenia. Ponieważ jak nas doprowadzano widzieliśmy że niedaleko jest taki plac na którym były zgromadzone samochody ciężarowe, osobowe, terenowe. Mieliśmy kilku kierowców spośród tej grupy która została tam zatrzymana i zorganizowaliśmy zabranie samochodów ciężarowych, terenowych, jedną sanitarkę i nawet jeden samochód pancerny. to był stary typ francuski Citroen. Z tym że ten samochód został później pozostawiony, choć uruchomiony, lecz stwarzał nam trudności w jeździe. Ujechaliśmy może 10-15 kilometrów. Był zbyt powolny i zostawiając go w lesie zniszczyliśmy uzbrojenie i napęd, a my wyruszyliśmy w kierunku

południowym.

Okazało się że Krasnobród został ostrzelany przez brygadę kawalerii pod dowództwem Andersa, która przebijająca się na Węgry. Zabierając samochody staraliśmy się uzbroić żołnierzy jak najlepiej i 80 procent było uzbrojone w ręczne karabiny maszynowe. Poza tym zabraliśmy jeszcze żywność, paliwo, no i granaty. Dowódcą był porucznik, nazwiska nie pamiętam, bo to był nie z naszej jednostki, tylko razem z nami siedział. Nas było trzech podchorążych z piechoty, tak że ~~nas~~ ten oddział został podzielony na trzy grupy/plutony i każdy z nas dowodził jednym plutonem. Ja dowodziłem drugim plutonem. Po drodze były potyczki z ubezpieczeniami niemieckimi, a taka najważniejsza była przy przekroczeniu drogi między Rzeszowem a Przemyślem na skrzyżowaniu gdzieś przejeżdżałi.. Tam był zamaskowany samochód pancerny, który został w nocy przez oddział nasz wysadzony w powietrze. Po kilku dniach marszu w porze nocnej, bo w dzień raczej maskowaliśmy się w zalesieniach żeby nie było widać z powietrza. dotarliśmy do miejscowości Krukienica, to jest na południe od Sambora. I tam rano wczas natknęliśmy się na oddziały sowieckie. Pertraktowaliśmy żeby nas przepuszczono, bo nie chcemy się z nimi bić i chcemy iść na Węgry. Oni widząc że jesteśmy uzbrojeni "po zęby", a oni byli liczebnie słabsi, bo to ubezpieczenie składało się z kilkunastu żołnierzy, więc nas przepuścili, ale widocznie mieli kontakt radiowy z dowództwem który kwaterował w tej miejscowości. Wjeżdżając do miejscowości zostaliśmy otoczeni przez <sup>ok. 100 sot</sup> czołgi sowieckie, rozbrojeni <sup>o. 100 sot</sup> jakło "buntowoszcziki" nas zaprowadzono na punkt zborny do Sambora. <sup>stancje</sup> W Samborze byliśmy ulokowani w tartaku i w nocy podstawiono wagony, zadrutowano wagony i skierowano transport w kierunku wschodnim. Powiedziano nam że nas zawiozą do Lwowa i we Lwowie sprawdzą papiery i puszczą nas do domów. Przyjechaliśmy do Lwowa, przejechaliśmy Lwów i transportowano nas dalej w kierunku wschodnim.

Ja będąc w wagonie trzymałem się z dwoma podoficerami z Krakowa z którymi nawiązałem kontakt już w Krasnobrodzie. Dni byli z broni pancernej, z 5 baonu pancernej z Dąbia. Jeden nazywał się kpral Kazimierz Błaszczewicz, a drugi <sup>Jan</sup> Świgoń (~~imiienia nie pamiętam~~). Potocznie nazywaliśmy go Wickiem. Zaproponowałem im ucieczkę, a oni się zdecydowali na to żeby uciekać ze mną. Więc odczekaliśmy na odpowiedni moment, bo transport był tak zorganizowany, że na przodzie była lora i karabiny maszynowe i z tyłu, a w wagony w których myśmy byli umieszczeni były tylko zadrutowane i zabezpieczone tak żeby nie można było uciekać. W nocy wyrwaliśmy kratę w okienku wagonu, bo to był normalny wagon transportowy do transportu koni i wojska z półkami do spania. Przez to małe okno wyskoczyliśmy na bufory. Działo się to na przełomie września i października, bo tak 20 września była kapitulacja, dwa dni spędziliśmy w Krasnobrodzie, pięć dni podążaliśmy w pobliżu grupy generała Andersa, jednak kawaleria mogła się poruszać polami i lasami, my zaś musieliśmy się trzymać dukt leśnych, skutkiem tego straciliśmy z nimi kontakt. Chyba ich nie wyprzedziliśmy bo w Samborze na tartaku było zgromadzone dość dużo wojska. Oficerów i podchorążych natychmiast oddzielono. a ponieważ myśmy byli bez dystynkcji zarośnięci, to zachowaliśmy się wśród żołnierzy, tak że to nas uratowało.

Po wydostaniu się z wagonu we trójkę skakaliśmy szybko jeden po drugim, żeby nie stracić kontaktu; ja skakałem pierwszy a oni za mną. Tak nieszczęśliwie skoczyłem na nasyp, że uważyłem nogą za jakiś krzak i zaryłem nosem w szuter kalecząc twarz, ale to mi nie przeszkadzało w dalszym marszu. Noc w której skakaliśmy była na pół pochmurna i księżyc prześwitywał przez chmury. Po skoku zaczęli do nas strzelać z tylnej lory, ale my

leżąc w zagłębieniu byliśmy bezpieczni i wyszliśmy z tego bez szwanku. Maszynista jak usłyszał strzały, tak dodał gazu by jak najszybciej odjechać z tego miejsca.

My zamiast na południe skierowaliśmy się w kierunku północnym. Dlatego, że wiedzieliśmy że będą nas szukać na południu i dla zmylenia przeciwnika poszliśmy na północ. Po drodze napotkaliśmy osobną dom stojący, ok 500 metrów od wsi. Trafiliśmy tam na Ukrainkę, której mąż był w polskim wojsku, a ona była sama w domu. Zapukaliśmy. Ona zapytała kto tam, no więc ja powiedziałem że żołnierze, no bo cóż mogłem powiedzieć inaczej. Na to ona nas wpuściła, z tym że przed świtem musimy od niej wyjść bo Ukraińcy zrobią jej krzywdę. Zgodnie z jej życzeniem, jeszcze ciemno było, wyruszyliśmy na stację Chodorów. Na stacji były patrole ukraińskie, lecz mieliśmy szczęście że nas nie zaczepiono, bo szliśmy na odważnego, nie chyłkiem skradając się kątem, tylko na wprost nich. I natknęliśmy się na kolejarza polskiego który nas zamknął w wagonie pocztowym, bo pociąg miał odejść dopiero późnym wieczorem w kierunku Lwowa. Pół godziny przed odejściem pociągu musieliśmy wagon opuścić, bo ruscy przywozili pocztę i zobaczyli by nas. W wagonach rozmieściliśmy się nie razem, tylko rozproszeni, no, żeby w razie wpadki jednego nie pociągnąć za sobą innych. Przyjechaliśmy do Lwowa. We Lwowie mnóstwo wojska sowieckiego i wtedy zobaczyliśmy jak to wojsko jest ubrane i jak wyposażone. Normalnie te karabiny na sznurkach to nie jest żadna fantazja tylko tak było, tornister to znaczy zwykły worek zawiązany na sznurek, no i menażka. Mnóstwo było samochodów ciężarowych, które miały drewniane szoferki i mnóstwo było furmanek z końmi, które były poumieszczane na wszystkich podwórkach.

Gdy przyjechaliśmy do Lwowa, nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia. Lwów był dla nas miastem obcym. I tak szliśmy ulicą od dworca bez celu, ale nie razem, bo byliśmy w mundurach, lecz w rozsypanie w zasięgu wzroku. Ja zostałem zaczepiony przez robotnika w ferszalunku, który spytał mnie czego szukam. Ja na to "A czego żołnierz może szukać", a on "proszę pana, proszę przyjść do mnie, ja się panem zaopiekuję", a ja mówię "proszę pana, ja nie jestem sam, ja mam jeszcze dwóch kolegów ze sobą których nie opuszczę", "to przyjdźcie we trójkę" padła odpowiedź. Podał adres na karteczce, bo on pracował w szpitalu i dopiero wieczór wracał do domu. Ja wziąłem ten adres, spotkałem się z kolegami i mówię tak i tak, mówię że, "ja pójdę najpierw sam do niego, wy zostaniecie na dole, jak coś nie wyjdzie, to brykajcie, a jak wyjdzie to przyjdę po was". Wieczorem pod wskazany adres przyszliśmy. To była ulica Prowiantowa boczna 5, blisko cmentarza, między Janowską a Gródecką. Pukam, wchodzę, mieszkanie na poddaszu, mieszka sam z żoną. Patrząc, stół przygotowany na pięć osób, grochówka wojskowa na stole, zapach niesamowity. Od blisko półtora miesiąca gotowanego nie jedliśmy, to taka grochówka dla nas była najwykwintniejszym daniem. On się pyta "a gdzie koledzy", ja mówię, że spotkali kogoś na dole i że zaraz po nich pójdę. Po umyciu się siadamy do kolacji, a on mówi tak "słuchajcie panowie, ja tutaj nagromadziłem trochę żywności z magazynów wojskowych, które zostały zbombardowane przez Niemców. Sam z tego nie chcę korzystać. Możecie u mnie zostać dokąd chcecie, bo chcę się z wami podzielić, żeby mi później nie zarzucano, że jestem złodziejem mienia państwowego, a wy mi później dacie pokwitowanie, żeście u mnie byli". "Jak najbardziej!"

Siedzieliśmy tam około 2 tygodni, ale wykorzystaliśmy czas nie siedząc beczynn timer, tylko z cmentarza ścinaliśmy i rąbaliśmy

drzewa zbombardowane i zwalone, aby mu zabezpieczyć opał na zimę. Po 2 tygodniach wyszło zarządzenie komendanta sowieckiego, że wszyscy mężczyźni, którzy są na terenie Lwowa i nie byli mieszkańcami, muszą się rejestrować i to wyznaczili 2 punkty w mieście, lecz nie w dzień, a w nocy. To ja już z góry mówię: "Kochani, nie ma co tu szukać we Lwowie, bo narobimy kłopotu sobie i gospodarzowi. Brykamy, kochani". I ze Lwowa zaopatrzeni w żywność, papierosy i inne wiktuały wybraliśmy się do Przemyśla. W międzyczasie szukaliśmy kontaktu celem przekroczenia granicy, którego nie mogliśmy znaleźć. Odradzano nam przejście mówiąc, że granica jest tak obstawiona przez Ruskich i z uwagi na tamtejszą ludność przejście jest niemożliwe. Ale postanowiliśmy się udać do Krakowa. Przyjechaliśmy do Przemyśla. Przemyśl, granica obstawiona na Sanie, po jednej stronie przez Niemców, po drugiej stronie przez Rosjan. Ci dwaj moi koledzy zdecydowali się pójść na Rawę Ruską piechotą, a ja, ponieważ miałem uszkodzoną nogę, pozostałem w Przemyślu. Na trzeci dzień (tam był tylko czynny most kolejowy, bo drogowy był zbombardowany i uszkodzony) mostem kolejowym była możliwość przejścia na stronę niemiecką. W pewnym momencie słyszę, żeby się uformowała kolumna kobiet, dzieci i starców. Będą przepuszczać na drugą stronę. Ja się długo nie namyślając wpadłem w tę kolumnę, wziąłem chustę od kobiety, dziecko za rękę, tobolek na plecy i w środku między tymi babami przeszedłem na drugą stronę. Ponieważ na drugiej stronie była tylko grupa oficerów niemieckich, która odbierała całą kolumnę, a droga nie była obstawiona na Zasadniu do szkoły, tam gdzie nas kierowano, widząc sytuację, zostawiłem chustę i tłumok, dziecko puściłem i prysnąłem w boczną ulicę. Wpadłem na podwórko do jakiejś szopki. Słyszę, że nic się nie dzieje, to po około 2 godzinach siedzenia wyszedłem. Poszedłem torem na Żurawicę. Na stacji w Żurawicy kupiłem bilet i przyjechałem do Krakowa w mundurze w końcu października 1939 r. Tak, że jak

umówiliśmy się na 1 listopada w Krakowie, to oni już byli. Po drodze udawali kopaczy ziemniaków i piechotą z Rawy Ruskiej przeszli do Krakowa. Ja nie dojechałem do samego Krakowa, bo na dworcu już przeprowadzali rewizje, oddzielano mężczyzn od kobiet, więc nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwo wyskoczyłem w Płaszowie i przyszedłem na nogach do domu.

W Krakowie nawiązałem kontakt z kpt. pil. Stanisławem Gaikiem, <sup>zwanym PW lotniczym</sup> byłym wykładowcą, (który polecił mi, żebym zorganizował grupę tych pilotów, którzy byli wyszkoleni w PW lotniczym i on nam umożliwi przerzut na Węgry. Ja tę grupę zorganizowałem. Prócz mnie było jeszcze pięciu kolegów: Jerzy Orliński, Adam Zaćwieja, Marian Kubicki, Rychlik, Zgłobik. Umówiłem się z kapitanem na punkcie zborynym, ale kapitan w tym dniu nie przyszedł. Co się okazało: gestapo zaczęło go poszukiwać. Bryknął i nie miał możliwości dać nam znać, bo nie miał naszych adresów i zostaliśmy na lodzie. Jak zostaliśmy na lodzie, to doszedł jeszcze jeden kolega, pilot Rudolf Kawala. Byliśmy w tzw. rezerwie, bo jeszcze ogólnie dział lotniczy nie był zorganizowany. To nasza praca ograniczała się do wywiadu lotniczego. To znaczy rozmieszczenie samolotów niemieckich na lotnisku, zbiorników z paliwem, posterunków, zabezpieczenia tychże samolotów, ilość samolotów, przyloty, odloty, typy. Dopiero w 1942 r. została zorganizowana baza lotnicza pod kryptonimem "Jaskółka", do której część z tych, którzy się uchowali zostali włączeni (bo na przykład pilot Kawala został rozstrzelany). Dowódcą był kpt.pil. Gustaw Sidorowicz, były dowódca 111 eskadry w Brygadzie Pościgowej, pseudonim Wróbel (w 1945 roku został aresztowany, wywieziony do Związku Sowieckiego i tam parę lat w kazachskich kopalniach spędził. Żyje jeszcze i mieszka w Warszawie). Zajmowaliśmy się organizowaniem zrzutowisk, lądowisk, odbiorów zrzutów, "mostów". Ja <sup>w nr. par. ps "Sep"</sup> (OSO- biście pełniłem funkcję kierownika tajnej stacji meteorologicznej,

następnie zostałem szefem służby meteorologicznej Okręgu Krakowskiego AK. Byłem oficerem odbiorów zrzutów. Osobiście odebrałem jeden, uczestniczyłem w dwóch, lecz samoloty z uwagi na trudne warunki atmosferyczne poleciały na inne zrzutowiska. W trzecim zrzucie brałem udział jako gość w Rzeszowskim, ponieważ szkoliłem tam załogę stacji meteo, więc, przez dowódcę podobowodu Stanisława Maciorka, ps. Żuraw, wziąłem udział w odbiorze zrzutu. On musiał później uciekać po wyzwoleniu do Szwecji, bo Sowieci chcieli go sprzątnąć. Pełniłem jeszcze funkcję instruktora teoretycznego PW lotniczego, tzn. w zakresie meteo, nawigacji, przepisów startowych. Mieliśmy trzy grupy do wyszkolenia: dwie męskie i jedną żeńską. Z tych grup kilku kolegów jeszcze żyje w Krakowie, między innymi Radwan.

Zostałem aresztowany w nocy 2/3 lipca 1944 roku z mieszkania przy ulicy Lotniczej. Niemcy otoczyli dom i mnie zabrali. Na przesłuchaniach nie przyznałem się do niczego, choć odbyły się w obozie w Płaszowie, i po przesłuchaniach odwieziono mnie do więzienia na Montelupich. Po tym przesłuchaniu to ja tydzień leżałem na brzuchu, bo miałem tak zsiękane plecy, że jak mnie przywieziono, to koszula była przylepiona do <sup>ciężka</sup> mięsa. Koledzy z celi zwanej Stodołą, a później całą śmierci (było nas ok. 30) zerwali tę koszulę i dermatolem zasypali rany. Po 2 tygodniach miałem następne przesłuchanie, które też wytrzymałem i z tego tytułu organizacja nie poniosła żadnych strat. Ponieważ miałem szerokie znajomości, to po moim aresztowaniu wprowadzono <sup>nie</sup>alarm <sup>o</sup>w organizacji. 26 lub 27 lipca więzienie zostało ewakuowane do obozu Gross-Rosen, później ja się dostałem do obozu Fiechteichen (na południowy wschód od Wrocławia, wtedy tam były oddziały zakładów Kruppa). Od sierpnia 1944 do stycznia 1945 pracowałem w tych zakładach. Podczas jednego z alarmów lotniczych zostałem pobity przez blokowego, tak że straciłem mowę, ale nie poszedłem do szpitala. W styczniu 1945 roku szliśmy pieszo do Gross-Rosen ok. 80 km ubrani w pasiaczki, płaszcze i drewniaczki. Spaliśmy po stodołach, a jedną noc spędziliśmy pod gołym niebem. Z 5 tys.

X

ludzi przeżyło może 2 tys. Po 2 tygodniach zostaliśmy ewakuowani z Gross-Rosen do Mauthausen, z tym że tam byłem przydzielony do podobozu Amstedten do naprawy torów. W połowie kwietnia z powrotem wycofano nas stamtąd, bo po naprawionych torach jeden pociąg przejechał. bombowce alianckie zniszczyły tory doszczętnie. Bombardowanie trwało 2 godziny na przestrzeni 5-6 km, bo to nie była mała stacja, tylko dworzec podobny do naszego Płaszowa. Obóz w Mauthausen został wyzwolony 5 maja 1945 roku.

Po wyzwoleniu byłem przez miesiąc w szpitalu amerykańskim, bo byłem w takim stanie, że lepszych do trumny kładli; ważyłem 38 kg. Po miesiącu wróciłem do obozu, w którym oczywiście istniał już samorząd. 18 czerwca 1945 wróciłem do Polski i zacząłem się leczyć.

W latach 1947-56 latałem na lotnisku w Krakowie jako pilot aeroklubowy.

Styczeń 1994.

Autoryzowane  
Tomasz Syga  
Kuliga Marcin

Poeband Tomasz Syga